

POD OPIEKĄ
PRZODKÓW





Wszystkie akwarele wykorzystane w książce autorstwa Kathy Golski

KATHY GOLSKI

POD OPIEKĄ
PRZODKÓW

POLSKO-AUSTRALIJSKA
RODZINA W PAPUI
NOWEJ GWINEI



GONDWANA



SPIS TREŚCI

Przedmowa do wydania polskiego.....	str.7
Wstęp, Australia 1994.....	str.10
Twarde lądowanie	str.13
Plemiennie ydreki.....	str.73
Troje uchodźców.....	str.149
Inne życie.....	str.205
Miejsca i ludzie.....	str.215
Mapki.....	str.218
Słowniczek.....	str.220
Podziękowania.....	str.224



Przedmowa do wydania polskiego

Kathy Golski jest australijską artystką-malarką i pisarką. Jej książka-dziennik „Pod opieką przodków”, z jej dwuletniego pobytu, wraz z mężem Polakiem i czworgiem dzieci, w Papui Nowej Gwinei odniosła duży sukces w Australii wśród tych licznych czytelników którzy chcą wierzyć, że małżeństwo i wychowywanie dzieci może iść w parze z realizacją ambicji zawodowych, nawet tych uważanych za egzotyczne i skrajnie niebezpieczne.

Zaufanie czytelników do przesłania tej książki bierze się nie tylko z osobistego doświadczenia Autorki ale i ze stylu pisarstwa i jakości przedstawionych w książce jej prac.

Proza Golskiej, tak jak jej pejzaże akwarelowe i portrety kreślone jedną ciągłą linią, jest delikatna, bezpośrednia i ujmująca. Skupiona na detalu i subtelnym zabarwieniu, doskonale oddaje nastroje chwil w ich specyfice jak i w ich otwarciu na to co niedopowiedziane, co się ukrywa za mglistymi kształtami krajobrazu i za ostrym konturem sylwetek zamyślonych ludzi. Czytając książkę i oglądając jej prace Czytelnik nie ma wątpliwości w talent Autorki w nawiązywaniu kontaktów i przyjaźni z ludźmi i krajobrazem, w jakim przyszło jej mieszkać i w rzetelność opisu jej doświadczeń.

Jej dziennik z pobytu w odległych górach Nowej Gwinei zachwyca bogactwem szczegółów i drobiazgowych opisów świata dotąd tylko pobieżnie znanego z podróżniczych, w większości męskich, relacji. Świat, choć stale egzotyczny, w prozie i obrazach Golskiej jawi się nam jednocześnie swojski i sympatyczny. Mieszkańcy wyspy Nowej Gwinei tak często przedstawiani jako groźni łowcy głów lub ludożercy, pokazani są jako godni zaufania członkowie większej rodziny, bracia, siostry, wujkowie. Są to ludzie blisko związani z Autorką, tacy którym mały Rafał daje nosić się na rękach, z którymi chłopcy, Jan i Miszka, budują dom a Nadia, dorastająca panienka, może flirtować.

Już po pierwszych kilku rozdziałach znamy bohaterów dziennika, i tych z rodziny Golski-Dabrowski, i tych z miejscowego plemienia. Numdi, Pella, Kints, Ruminj, Dokta stają się bliscy czytelnikowi. Tak samo misjonarze z Rulnej: ksiądz Józef i brat Paweł są żywymi ludźmi radzącymi sobie, lepiej lub gorzej, z codziennymi problemami.

W prozie Golskiej nie ma miejsca na polityczno-religijno-moralne ideologie, które rościłyby sobie pretensje bycia kluczem do opisu i interpretacji otaczającego świata.

Autorka zdaje się na swój artystyczny instynkt, raczej niż teorie, rady czy uprzedzenia w kierowaniu swoim postępowaniem, które nabiera przez to lekkości i jakby beztroski obecnej w jej wszystkich kontaktach.

Testem dla prostoty i bezpretensjonalności prozy Golskiej jest to, że potrafiła zawrzeć w niej miłość do dwóch mężczyzn na raz, nie wzbudzając przy tym niczyjej reakcji obronnej.

Jednym z nich jest Olek Golski, jej pierwszy mąż i ojciec trojga starszych dzieci, który zginął w wypadku w 1978 roku, a drugim Wojciech Dąbrowski, też Polak, którego poznała i poślubiła w Kanberze w 1980 roku.

Wojciech studiował antropologię na Australijskim Uniwersytecie Narodowym i był bezpośrednim powodem dla którego Autorka znalazła się w Nowej Gwinei.

Badania terenowe na temat pracy misji katolickiej i roli Chrześcijaństwa w kulturze ludów Papui Nowej Gwinei zawiodły Wojciecha w odległe góry tej wyspy. Rozpoczęcie prac w jednym z najbardziej egzotycznych miejsc na Ziemi zbiegło się w czasie z narodzinami ich pierwszego dziecka, Rafała. Stojąc przed wyborem dwu-letniego rozstania albo podjęcia ryzyka wspólnego życia całej rodziny w trudnych i prymitywnych warunkach, wybrali to drugie. Tym samym rzucili wielkie wyzwanie tym wszystkim rozsądnym ludziom, którzy im to stanowczo odradzali. Wiedzeni siłą wzajemnego uczucia i wiedząc, z grubsza, co ryzykują, zdali się z ufnością na swój los. Zdawali sobie sprawę z tego, że z dala od pomocy lekarskiej, od szkół, od podstawowych udogodnień cywilizacyjnych jak światło

i bieżąca woda, mogli liczyć wyłącznie na własne siły, szczęście... i opiekę Opatrzności.

Co więcej. Zdani przez cały czas wyłącznie na swoje towarzystwo, nie licząc dziesiątków nowopoznanych „braci” i „sióstr” z miejscowego plemienia oraz misjonarzy: księdza Józefa i brata Pawła, Golscy-Dąbrowscy przechodzili próbę siły i odporności ich miłości. „Pod opieką przodków” opisuje w detalach w jaki sposób młoda rodzina nie tylko zażegnywała konflikty i spory, ale odnosiła sukcesy w rozbudzaniu wzajemnego sobą zainteresowania.

Pobyt na Papui Nowej Gwinei był też okazją do zadziergnięcia głębokiego uczucia i wzajemnego szacunku między Wojciechem a trójką starszych dzieci: 12 letnią Nadią, 10 letnim Janem i 8 letnim Miską. Wiadomo ile potencjalnej nieufności trzeba przełamywać między prawie-już-nastolatkami a nowym mężczyzną, który usurpuje sobie rolę ich ojca.

Książka „Pod opieką przodków” pisana jako pamiętnik, szczególnie przedstawia proces wzajemnego „docierania się” rodziny na tle życia codziennego w obcym, egzotycznym otoczeniu. Dużo uwagi Autorka poświęca temu jak to otoczenie, ze swoimi wierzeniami i obyczajami, brało udział w procesie wzajemnego dopasowywania. Brawurowym, choć ujmującym, zabiegiem Autorki jest wprowadzenie do procesu Olka, pod opieką którego, raczej niż abstrakcyjnej Opatrzności, czuła się Autorka wraz z całą rodziną. Włączając postać Olka, Autorka opierała się na głęboko zakorzonej wierze miejscowych górali w opiekuńczą i nadzorującą obyczaje, rolę zmarłych. Ten spontaniczny zabieg, spowodowany niewątpliwie najgłębszymi potrzebami jej serca, był inspirowany przez miejscową kulturę, w którą z entuzjazmem włączyła się cała rodzina Golskich-Dąbrowskich. W kontekście Papui Nowej Gwinei codzienna wspólnota między żywymi i zmarłymi jest na tyle oczywista, że przenika osobiste doświadczenia wszystkich, którzy się znajdują w zasięgu jej oddziaływania.

Wstęp, Australia 1994



to historia moich doświadczeń „czerwonoskórej” kobiety, redskin, gdy mieszkałam na dalekich Zachodnich Wyżynach Papui Nowej Gwinei. W 1981 r. wyruszyłam z czwórką dzieci, z których jedno było noworodkiem, żeby dołączyć do męża w dolinie osłoniętej przed światem przez góry i gęste mgły. Odnalazłam go, a właściwie to on wyłonił się z doliny i znalazł nas, pełnych obaw i niepokoju, zastanawiających się, co nas czeka w tym nowym, dziwnym kraju. Już tu zadomowiony, zebrał nas i razem wyruszyliśmy długą, niebezpieczną trasą do miejsca, które nazywał teraz domem. Podskakiwaliśmy na wybojach, zapadaliśmy się we mgłę, aż dotarliśmy do dna doliny. A kiedy się już w nim znaleźliśmy, zostaliśmy tam na dwa lata. Wojtek, mój mąż, Polak, ja Australijka, i czworo moich dzieci. Starsza trójka to pół-Polacy, bo Polakiem był ich ojciec. Czwarte, noworodek, jest synem Wojtka, mojego nieustraszonego polskiego drugiego męża, odkrywcy i antropologa. Tutaj to, czy jesteście Polakami, czy Australijczykami, nie robi różnicy – wydajemy się tacy sami i bardzo różni od naszych gospodarzy, ciemnoskórych członków plemienia Gamegai z Rulna.

Wkrótce przekonaliśmy się, że mieszkać z plemieniem Gamegai oznaczało zarazem żyć z większym, niewidzialnym plemieniem – zmarłymi przodkami. Stopniowo sobie uświadamialiśmy, że przodkowie mają więcej władzy nad żywymi, niż by im się to należało. Skryci we mgle, zawsze czujni, przodkowie tipokai z góry obserwowali myśli i czyny członków plemienia. Zanim w latach 30. przybyli tu biali ludzie, tylko tipokai byli czerwonoskórzy. Przodkowie mogą być pomocni i otaczać opieką, ochronić przed uderzeniem przez spadające drzewo albo uratować chatę pełną ludzi, którym zagraża pogrzebanie żywcem pod błotną lawiną w czasie pory deszczowej. Ale tipokai przywołują także do porządku, a na tych, którzy złamali plemienne prawo, potrafią zesłać chorobę, a nawet śmierć. Kiedy z pomocą mojego męża, antropologa, zrozumiałam, jak wielka jest moc przodków, jak potrafią oni być kapryśni, zdałam sobie sprawę, że aby sobie zapewnić bezpieczeństwo i przetrwanie, potrzebujemy własnego przodka, który stawałby w naszej obronie, do którego moglibyśmy się odwoływać, który z pomocą europejskiej męskiej logiki i sprawiedliwości takiej, jak my ją rozumiemy, umiałby łagodzić plemienne zwyczaje, od których teraz zależało nasze życie. Dlatego wezwałam na pomoc Olka, zmarłego ojca trójki moich starszych dzieci, by był naszym własnym tipokai. Gdy Olek wkrótce po naszym przybyciu niespodziewanie na nowo pojawił się tam, w tych samych górach, które w latach 60. przemierzał jako młody oficer w patrolu medycznym, uznałam, że to część jakiegoś większego planu. Powrócił, żeby być z nami, żeby pełnić honory nasze-

go własnego przodka i troszczyć się o swoje czerwonoskóre dzieci, gdy zagrożą im jakieś niebezpieczeństwo.

Spędziłam w Rulna trochę czasu, zanim się dowiedziałam, jak miejscowi mnie nazywają i co to oznacza: ambkundra, czyli „kobieta o czerwonej skórze”. Nieprzyjemnie mnie to zaskoczyło – z próżnością myślałam o sobie, że mam skórę oliwkową, a nie czerwoną. Ale tak nas zakwalifikowano, więc nie chcąc brać na siebie całego ciężaru tej czerwoności, uznaliśmy, że wyżynne plemiona tak właśnie musiały postrzegać pierwszych odkrywców, Australijczyków irlandzkiego pochodzenia, z twarzami purpurowymi od słońca i od wysiłku, do którego nie byli przyzwyczajeni. To właśnie od nich wzięło się określenie redskin.

Mieszkańcy wyżyn pomylili się, biorąc tych pierwszych redskinów za swoich przodków. Tylko w ten sposób mogli wytłumaczyć nagle, zdumiewające pojawienie się istot o innej barwie skóry, przybywających z chmur i mgieł w samolotach, które dla miejscowych były wielkimi, hałaśliwymi ptakami. Przybysze przynieśli ze sobą śmiertcionośne kije i radia, z których płynęły dziwne, ludzkie głosy, siali strach i wzbudzali gwałtowną ciekawość.

Tak czy inaczej, dla Gamegai czerwień była kolorem zagadki. Byliśmy dla nich również zagadkowi, jak oni dla nas, my obserwowaliśmy ich rytuały, a oni nasze.

Czas, który spędziłam w tym nieodkrytym świecie, był przerwą w naszym zwykłym życiu. Odmienił nasz los, zanim stamtąd wyjechaliśmy. Wojtek, mój mąż, napisał „Przez przodków do nieba” – pracę dla Australijskiego Uniwersytetu Narodowego. Była to opowieść o tym, jak Gamegai po przybyciu pierwszych misjonarzy włączyli chrześcijańskie wątki do swojej kosmologii. Ja, malarka, wróciłam do mojej ukochanej suchej krainy, gdzie ogniste kolory odbijają magiczną czerwoną barwę ziemi, ale nigdy nie zapomniałam o szarozielonej mgłę na wyżynach. Ta mgła, przesiąknięta zapachem dymu i świńskiego tłuszczu, albo zamglenie poranka, gdy czerwony brzask rozświetla przesłonięte szczyty gór, wciąż snuje mi się po głowie.

Co do moich dzieci, życie w Rulna odmieniło je. Kiedy tam przybyliśmy, Nadia miała 13 lat, Jan 12, a Miszka 10. Rafał liczył trzy tygodnie. Teraz Rafał jest nastolatkiem i pamięta pierwsze dwa lata swojego życia dzięki naszym opowieściom, piosenkom Nadii i zdjęciom, na których jest on sam, białe dziecko w Rulna, czyli, w mowie Gamegai, mały redskin.

Cztery lata temu Nadia wydała płytę, która odniosła wielki sukces na Papui Nowej Gwinei. Piosenki napisał Miszka. Ta muzyka poruszyła mnie tak bardzo, że wróciłam do moich nowogwinejskich zapisków i postanowiłam je opublikować.

Kathy Golski



TWARDE LĄDOWANIE



Barbara - brulpat

12 kwietnia 1981

Podróż z Mount Hagen do Rulna była jak ziszczenie prześladowającego mnie koszmaru, w którym raz po raz spadam do tyłu z klifu albo zjeżdżam w dół drogami, które ześlizgują się w pustkę. Toyota z napędem na cztery koła z trudem mieściła się na trakcie. Tłukła się w ślimaczym tempie, a na poboczu drogi stok góry opadał w dół, znikając w chmurach. Jedną ręką przygarniałam moje bezcenne zawiniątko z dzieckiem, drugą zaciskałam na fotelu i od czasu do czasu zerkałam na twarze dzieci na tylnym siedzeniu. Podobnie jak ja, wpatrywały się w opadające gdzieś w dół mgły, od których było tak bliską do rozcierających błoto kół naszego pojazdu.

Żołądek bolał mnie od wysiłku zaciskania się na wybojach i wąskich jak nóż zakrętach, od staczania się i poślizgów na chybottliwych mostach, które spinały rzeczne wąwozy. Wcześniej nie wiedziałam, że Wojtek potrafi prowadzić samochód z taką wprawą. Patrzyłam na eleganckiego towarzysza mojego życia, na jego muskularne ramiona, panujące nad roztańczoną kierownicą, i ten pokaz żywiołowej męskości poruszał mnie, przykuwał uwagę między jednym i drugim atakiem dzikiego strachu. Wojtek rzucił mi spojrzenie z boku, z błyskiem intymnej bliskości, i wiedziałam już, dlaczego tu jestem.

Ale gdy docieraliśmy wreszcie w dół, wjeżdżając do długo oczekiwanej doliny, to wrażenie rozwiało się, bo oto tłum górali zaczął się wyłaniać z gęstego lasu, falować na drodze, zmierzając na spotkanie naszej furgonetki. My byliśmy już wyczerpani, oni – pełni energii. Próbowałam zebrać się w sobie, żeby stawić czoła temu, co nas czekało. Wojtek nie zatrzymał się, ale oni szli za nami z taką samą szybkością, z jaką poruszał się samochód. Ukrywając lęk i wątpliwości, usiłowałam się uśmiechać i machać do nich, żeby odpowiedzieć na ich entuzjazm. Nagle zatrzymaliśmy się na polance z lewej strony drogi, przed chatą z trawy, ozdobioną czerwonymi kwiatami.

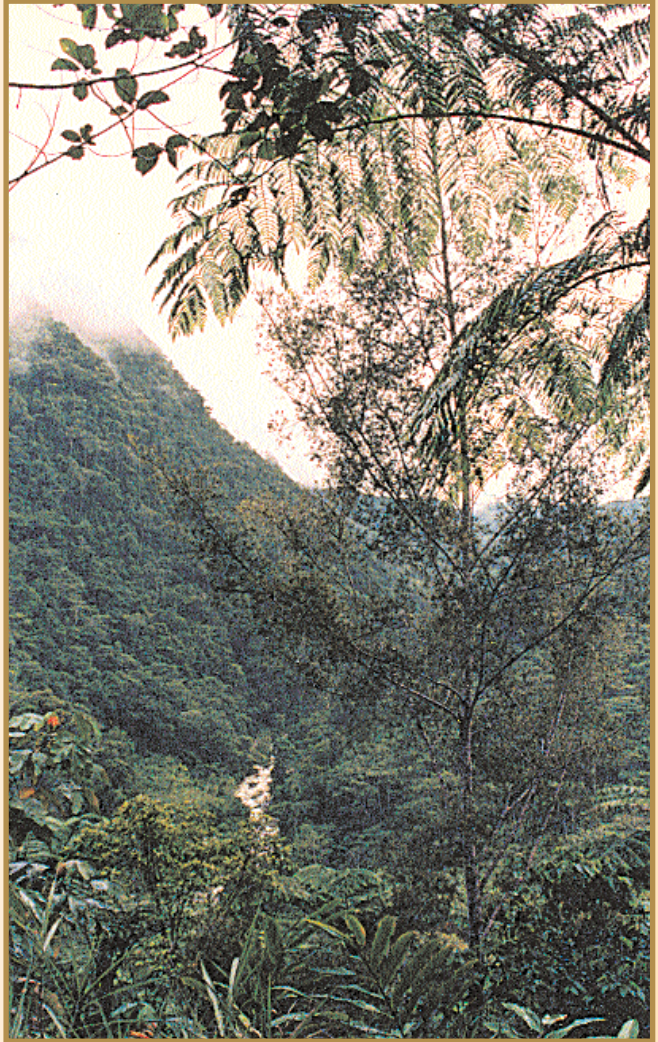
Wojtek odwrócił się do mnie, zdjął rękę z drążka zmiany biegów, żeby nadać tej chwili stosowną wagę. Przygotowywał sobie w myślach ten moment, romantyczną prezentację naszego gniazdka miłości.

– Oto – powiedział – nasz dom.

Wojtek lubił układać i przedstawiać mi sensacyjne scenariusze, opowiadać o kolejnym kawałku ogrodu, nowym, odmiennym fragmencie domu, i zwykle ta jego delikatna, twórcza strona mnie zachwycała. Ale tym razem miałam problem. Zachwyt mnie jakoś nie ogarniał. Nie umiałam go nawet udawać. Cała trzęsłam się z przerażenia.

Nie wiem, jak to się stało, ale pozwoliłam, by wyobraźnia wzniosła dla mnie prawdziwy dom, prosty, zbudowany z trzciny i pokryty strzechą, ale przewiewny, tchnący swobodą, z korytarzem i słonecznym światłem, wciskającym się przez bambusowe listewki do nastrojowej sypialni. Żołądek jakoś dziwnie mi się skręcił. Z początku nie byłam

w stanie ruszyć się z furgonetki, patrzyłam tylko ze zdumieniem i niedowierzaniem. Nasz dom nie był chyba wyższy od tej toyoty. Widocznie przerażenie widać było w moim wzroku, bo do razu wyczułam rozczarowanie tych wszystkich, którzy mnie obserwowali. Ale dobre maniery wzięły górę – otaczał mnie przecież spragniony uznania tłum. Na pewno to oni zbudowali dla nas tę chatę. To Wojtek nadzorował budowę, a moja mina sprawiła, że od razu uszedł z niego entuzjazm. Patrzył niecierpliwie i z napięciem. Nasza krucha bliskość gdzieś wyparowała. Chciałam, żeby powróciła. Musiałam coś zrobić, żeby uratować sytuację ze względu na siebie, na nie-



Dolina
strumienia
Wunimb



W oczekiwaniu na obiad z pieca ziemnego mu-mu (od lewej Miszka, Numdi, Kints, Kathy z Rafałem, Ruminj i Jan)

go, na wszystkich. Opiekuńczo tuląc Rafała, pozwoliłam, by wyciągnięte ręce pomogły mi zejść i wprowadziły mnie niskimi drzwiami do pokrytej strzechą chaty. Kiedy przywykliśmy do panującego wewnątrz mroku, zauważyliśmy, że mieścił się tam małeńki salonik, z którego przechodziło się do dwóch sypialni o rozmiarach łóżka. Powąła była niska, stać prosto dało się tylko w środku, tam, gdzie strzecha unosiła się w górę. Na podłodze leżała bambusowa mata. Od frontu, pod skrajem strzechy, zbudowano małą werandę, na której mieścił się wąski stół i połowy piecyk na naftę. I to było wszystko. Krótka ścieżka w dół, pod kątem prostym do chaty, prowadziła do ubikacji – dziury w ziemi z małeńkim daszkiem, trzema ścianami i otwartym wejściem. Wyglądało na to, że ten, kto korzysta z wychodka, musi kucać na oczach ciekawskich przechodniów.

A byliśmy obserwowani z uwagą, światło odbijało się w skupionych oczach, oczekujących na moją reakcję. Tłumiąc przerażenie, zmusiłam się, by w odpowiedzi na niewątpliwe wyczekiwanie i gościnność zrobić zachwyconą minę i kilka gestów uznania. Na zewnątrz chaty, w słonecznym świetle, powitanie rozpoczęło się z pełną siłą.

Tłum rósł. Dotykano włosów i tarmoszono je, potrząsano nam w twarz pięściami, powitalne okrzyki rozdzierały spokojne, tropikalne powietrze. Nie byliśmy gotowi, by stać się takimi gwiazdami. Prawdę mówiąc, w ogóle nie przygotowaliśmy się na to, że będziemy ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Próbowaliśmy wrócić do samochodu, ale zanim nam się to udało, pomarszczony staruszek wyciągnął mojemu dziecku smoczek i sam go wypróbował. Udało mi się odebrać smoczek dopiero, gdy staruszek zręcznie wsunął go z powrotem do buzi Rafała. No to koniec ze smoczkami. Wyrzuciłam go w krzaki. Gdy ruszyliśmy w dół drogi, zauważyłam, jak mały tłumek nurkuje w zarośla, by wyciągnąć ten różowy, plastikowy ślad kultury, z której przybyliśmy.



Dwaj członkowie plemienia wybrali się na spotkanie z nami na lotnisko. Był tam Pri – na jego dobrze zbudowanej piersi wisiała metalowa plakietka, oznajmiająca, że pełni funkcję sędziego wiejskiego trybunału. I był tam Ruminj. Od czasu do czasu zerkałam na niego ukradkiem i zauważyłam, że ma zadziwiająco szlachetny wygląd, może z powodu orlego nosa, pełnej wdzięku postawy i czarnego beretu z imponującą tabliczką, która głosiła, że jest „Komitetem”. Zaniepokoiły mnie jego zęby. Kiedy się uśmiechnął, zauważyłam ich buraczany kolor. Z samego przodu jednego brakowało.

Obaj mężczyźni mieli silne, nagie torsy, a na ramionach, wtulone między mięsły, nosili bransolety z misternie uplecionych pasów trawy. Ich pięknie zwężające się talie były przepasane szerokimi pasami z drewna, na których udrapowano tkaninę plecioną ze sznurka, dającą z przodu konieczną osłonę. Był to strój skromny i śmiały zarazem. Pęk liści kordyliny zasłaniał szczelinę między pośladkami. Na pokrytych lekkim tatuażem twarzach mieli wzory z czerwonej farby, a dobrane kolorystycznie kwiaty ozdabiały ich naramienniki.

Wgramoliłam się do dżipa obok Priego, który siedział przy Wojtku

– kierowcy. Na kolanach miałam zawiniątko z Rafałem. Wojtek nie widział go od dnia narodzin. Ale, ku mojemu niedowierzaniu, po krótkim wybuchu radości na widok syna wkrótce ponownie skupił się na nowych związkach, w które chciał nas wprowadzić. Gorliwie tłumaczył nam, że Pri i Ruminj to teraz jego bracia, więc są braćmi także dla mnie, a stryjami dla dzieci. Tak właśnie wyglądała teraz nasza rodzina, więc powinniśmy od razu czuć się przy nich swobodnie. Marzyłam o bliskości, którą mieliśmy odnaleźć, lecz teraz odniosłam wrażenie, że ważniejsze jest ponowne spotkanie Wojtka z nowymi braćmi. Oni byli po jego stronie, a my przychodziliśmy z zewnątrz. Byliśmy pod obserwacją. Na okresie próbnym.

Chciałam się zachowywać, jak należy, ale musiałam walczyć z niechęcią do tych nowych ludzi, na których skupiała się uwaga mojego męża. Mój wewnętrzny głos matki-obrończyni zamienił się w chór, powtarzający, że to miejsce jest niebezpieczne dla dzieci i że Wojtek dziwnie się zachował, nalegając, żebyśmy tu przyjechali. Może zawsze było z nim coś nie tak. A ja, ogarnięta fatalnym zauroczeniem, nawet tego nie zauważyłam. Więc co zauważyłam? Przystojnego, czytanego Polaka, skłonnego do wytwornego flirtu, z żarliwym, pełnym energii umysłem i przebłyskami galanterii, niemal nieznanym moim rodakom... Drugi raz dałam się na to nabrać, i oto jestem tutaj, po uszy w tarapatkach, i nie mogę się wycofać.

Dzieci siedziały z tyłu z Ruminjem, który raz po raz potrzasał pięściami i wykrzykiwał do nich radośnie. One reagowały na to podejrzliwie. Próbowaly się na swój sposób dostosować. Potem trzeba było znieść czterogodzinną jazdę w dół doliny. Moim sposobem, żeby to wytrzymać, było zamykanie oczu, kiedy już się zdawało, że tym razem samochód na pewno stoczy się ze skraju drogi albo że pęknie pod nim któryś most. Lepiej tego nie widzieć.

Za nami jechał terenówką ojciec Józef, misjonarz z Rulna. Trochę mnie pocieszało, że ktoś taki jak on, zdrowy na umyśle i sprawiający wrażenie normalnego, też zdecydował się wyruszyć tą drogą. Od razu zauważyłam, że ojciec Józef różni się od Polaków, których dotychczas znałam. Nie był podobny do Olka, też śmiałego i spragnionego przygód, ale zarazem obdarzonego ekscentryczną fantazją i romantycznego. I zupełnie nie przypominał Wojtka, uwięzio-

nego we własnym przenikliwym intelekcie, bystrego, ze zmiennymi humorami, twórcy idei i teorii na temat życia. Ojciec Józef też był bardzo męski, ale opanowany, metodyczny, przyziemny. Na pewno pogardzał głupcami. Przyszło mi do głowy, że przypomina australijskich mężczyzn. Ta swojskość koła moją roztrzęsioną duszę, skamieniałą ze strachu w przegrzanym ciele... Takiego Polaka nigdy nie spotkałam. Wszyscy Polacy, jakich znałam i znam, byli żarliwi i rozgadani, skłonni do sprzeczek, przejęci ideami i raczej niepraktyczni. Tacy mi się przynajmniej wydawali. Ale ojciec Józef był inny. Krótco znałam tego małomównego mężczyznę, ale wzbudził we mnie zaufanie. Praktyczny człowiek, na którym w każdych okolicznościach można polegać. Wszystko umiał naprawić. Przyszło mi do głowy, że przypomina mojego brata Johnnynego.

Z przerażeniem sobie uświadomiłam, że mój nowy mąż może być niebezpiecznym ekstremistą i że moja decyzja, by powierzyć mu los nas wszystkich tylko dlatego, że wydał mi się atrakcyjny, mogła być samolubna i nieodpowiedzialna. Nagle poczułam, że zaczynam się zgadzać z tymi, którzy odradzali mi tę nową, ekscytującą miłość.

W przeciwieństwie do Wojtka ojciec Józef, mrukliwy, przystojny młody polski ksiądz, robił wrażenie człowieka praktycznego i kompetentnego – właśnie jak mój brat Johnny. Był tak miły, że wyjechał swoją ciężarówką, żeby zabrać wszystkie nasze skrzynie, lekarstwa, książki, ubrania, moje farby i papier – wszystkie te rzeczy, które przez następne dwa lata miały nas otaczać ochronnym kokonem wobec nieznanego losu. Starłam się nie spuszczać ojca Józefa z oka.



Po krótkim spotkaniu z naszym przyszłym domem zjechaliśmy w dół, do miejsca, gdzie kończyła się droga. Stał tam budynek misyjny, gdzie mieliśmy zostać, póki nie przywykniemy do nowego otoczenia. Od początku próbowałam się wkraść w łaski ojca Józefa i świeckiego brata Paula, jowialnego Holendra po sześćdziesiątce. Okulary brata Paula stale przesłaniała mgiełka – mówił, że to

z powodu słabego serca. Wysłano go do katolickiej misji w Rulna, bo uznano, że praca misyjna w jednym z dużych centrów byłaby zbyt wyczerpująca dla człowieka w jego stanie. Poza tym tutejsza wysokość – 800 metrów nad poziomem morza – była dla niego w sam raz.

Może zaproponują, żebyśmy z nimi zostali przez całe dwa lata, jeśli będzie z nas pożytek. W misji dostaliśmy wygodne, czyste łóżka, z ciężkimi, szorstkimi, czerwonymi kocami i białymi prześcieradłami. Czerwono na białym, pomyślałam, ucieszona powtarzającym się przestawieniem. Oto jestem tutaj, na końcu świata, z dwoma Polakami. Jeden z nich jest żarliwym intelektualistą, a drugi przyziemnym księdzem – a chyba powinno być odwrotnie? Czy księża nie powinni żyć w świecie metafizycznym, a mężowie trzymać się ziemi? Jestem daleko od domu, oni znaleźli się jeszcze dalej od swej rodzinnej ziemi. Miałam już polskiego, niezbyt zainteresowanego praktycznymi sprawami męża, który przebywał tutaj, wśród nisko snujących się mgieł. Na naszym łóżku są polskie barwy, ale powinny być ułożone odwrotnie. Czy biały nie powinien być nad czerwonym? Roześmiałam się, zadowolona z tego spostrzeżenia, i z wdzięcznością wtuliłam się w prawdziwą, staromodną, zachęcająco nakrochmaloną pościel i w ciepłe, ciężkie ciało jednego z tych Polaków. Witając noc, patrząc za okno, na góry oświetlone jasnym księżycowym światłem, zastanawiałam się, dokąd zmierza moje życie i życie nas wszystkich.

Misja miała prąd z baterii słonecznych i splukiwaną ubikację. Łazienkę z prysznicem. I poczucie prywatności. Widziałam, co czeka na mnie kilka kilometrów w górę rzeki i wcale mi się tam nie spieszyło. Przy każdej okazji pospiesznie myłam naczynia, a dzieciom ukradkiem wydałam instrukcje: nie wolno im hałasować i muszą ze wszystkich sił dbać o porządek – innymi słowy, mają się stać zupełnie innymi ludźmi.

Jednak mimo moich starań wkrótce zauważyłam, że nadużywamy gościnności naszych gospodarzy. Rafał robił o wiele za dużo hałasu, dzieci pożarły wszystkie herbatniki, a kiedy brat Paul odmawiał przed posiłkiem modlitwę, Nadia zaczynała chichotać. Nic nie pozostało ze szlachetnego spokoju, w jakim żyli dwaj mnisi. Kończy-

ło im się jedzenie. Zamiast gorącej wody mieli zimną. Mnie też robiło się zimno na myśl o nieuniknionym wygnaniu.

24 kwietnia

Staram się myśleć pozytywnie, koncentrować się na romantycznych stronach życia w dżungli, wychodzić naprzeciw ryzyku, tak, jak rok wcześniej, gdy poślubiłam Wojtka.

Nie potrafiłam się oprzeć temu małomównemu, zmiennemu w nastrojach przybyszowi z Polski. Olek żył i miał się dobrze, kiedy pojawił się Wojtek. Przedstawił się – i dwóch swoich towarzyszy podróży – jako członków Polskiego Towarzystwa Eksploracyjnego. Zaczęto ich nazywać Trzema Odkrywcami. Byli mile widzianymi gośćmi. Wojtek, Marek i Tadek. Tadek, szeregowy członek towarzystwa, stał się ulubieńcem dzieci. Bawił się z nimi bez końca i nigdy nie okazywał zmęczenia, chociaż absorbowały go bez chwili przerwy. Wojtek, poważny, czasem ponury, był przewodniczącym towarzystwa. To jego Olek polubił najbardziej. Od początku zagłębiali się w dyskusje o Polsce, z której Olek wyjechał w 1958 roku, i o polityce. Marek, skarbnik, musiał stale dokonywać wyborów między licznymi kobietami, które od początku rywalizowały, by zostać przewodniczkami tego atrakcyjnego Don Juana.

A potem zdarzył się wypadek. Dwaj odkrywcy wyjechali, Wojtek wrócił z polskim lekarzem. Spędzali u nas weekend. Olek jechał na rowerze ze szpitala, tej nocy miał dyżur, ale chciał obejrzeć z Polakami rozpoczęcie Pucharu Świata. Był 1978 rok. Grała polska drużyna. Wielki Tomaszewski stał w bramce. Wszyscy Polacy czuli ogromne podniecenie, które i mnie się udzieliło. Ale ledwo skończyła się ceremonia otwarcia, gdy telefon zadzwonił z wiadomością, która odmieniła nasze życie. Olek nie żył.

Oczywiście wiele się wydarzyło od tej fatalnej nocy do teraz. Wielki ból żałoby i zagubienie, troje dzieci, które zostały bez ojca, ja pozbawiona pierwszej wielkiej miłości mojego życia. Dzielny Olek, który w czasie swego wojennego dzieciństwa przeżył więzienie i partyzanckie obozowiska, zginął tak bezsensownie, w czasie po-

koju, na autostradzie w starej, bezpiecznej Canberze. A młody odkrywca Wojtek odważnie, heroicznie zbierał na nowo naszą rodzinę, dawał nam nowy początek. Coraz bardziej mi się podobał. Był różny od Olka, ale intrygujący. Sama musiałam stać się odkrywcą, odkryć go, by zaspokoić ciekawość. Obiecywał przygodę, ale jego ciężkie ciało było jak bastion, jak spokojne schronienie. To intrygujące połączenie wywabiło mnie z wdowieństwa. Dzieci miały poważne zastrzeżenia wobec tego uzurpatora, któremu udało się zdobyć ich matkę, i powtarzały mi to przy każdej okazji. Zmawiały się przeciwko niemu i przeciw mnie. Staralam się zadowolić wszystkich, ale kończyło się to tak, że nikt nie był zadowolony. Nasze próby wprowadzenia dyscypliny napotykały na ich solidarny opór. Byłam rozdarta między dziećmi, które znałam, i mężczyzną, o którym tak naprawdę nie wiedziałam wiele. Ale przyjdzie na świat Rafała i zbliżająca się podróż na Nową Gwineę były dla dzieci bodźcem, by wreszcie zaakceptować Wojtka jako jedyną osobę, która może zająć miejsce ich ukochanego Olka. Zaczęły się garnąć do jego masywnego ciała, z przykrością znosiły posępne nastroje i odprężały się, gdy w jego błękitnych oczach zaczynały świecić iskierki. A przede wszystkim były mu bezgranicznie wdzięczne, ponieważ dzięki niemu zdarzyło im się coś niesłychanego – miały okazję wyrwać się na dwa lata z nudnej szkoły i wyruszyć w nieznane.

Wojtek spędził tu już trochę czasu i przywykł do tego miejsca. Mówi w miejscowym języku pidżyn, międzyplemiennym języku handlowym, który znają wszyscy oprócz starców, i co dnia wyrusza, żeby prowadzić rozmowy ze swoimi nowymi krewnymi. Nas zostawia, żebyśmy chodzili na krótkie spacerunki i poucza, że mamy nie robić zamieszania w misji.

1 maja

Jesteśmy teraz w chacie, a to znaczy, że jakoś się do niej przenieśliśmy. Przez kilka pierwszych nocy chyba w ogóle nie spałam, bo było zbyt ciemno. Ciszę przerywały tylko wrzaski, dopominające się o karmienie co trzy godziny. Któregoś razu za chatą rozległo się ha-

łaśliwe szuranie, a ja oblałam się zimnym potem.

Obudziłam Wojtkę, który usiadł w łóżku i zaczął po omacku szukać czegoś, czego dałoby się użyć jako broni. Dzielnie ruszył w noc, trzymając w ręce mój krem do twarzy. W mgnieniu oka stał się moim obrońcą. A potem usłyszeliśmy pochrząkiwanie i po chwili kwik. Wojtek z powrotem się położył.

– To świnię! – oznajmił. Moje serce zaczęło bić wolniej, przytuliliśmy się, rozgrzani i rozbudzeni dla siebie nawzajem.

Nie mogłam zasnąć. Czułam poruszenie ciała i podniecenie duszy, energię nieznaną ekstazy. Myśli o tym, co znane – o ukochanej rodzinie, śpiącej teraz tak bezpiecznie w głębi nocy – połączone z dreszczem nieznanego, przyszłości, która nas oczekiwała. Zmieniiliśmy nasze przeznaczenie, kiedy przybyliśmy tutaj, tak daleko od wszystkiego, co znaliśmy, wszystkiego za wyjątkiem nas samych.

Rulna, 2 maja

Kochani Mamo i Tato!

Wieści z innego świata. Dopiero gdybyście tu przyjechali, uwierzylibyście, że takie miejsce może istnieć. Może widziałam takie sceny na ekranie, ale tylko tam. Mieszkamy tu u stóp potężnej góry, myjemy się w rzece, jemy dziwne potrawy, prowadzimy intensywne, niekończące się życie towarzyskie z ludźmi, którzy wyglądają, jakby żyli w epoce kamiennej i są równie ciekawi nas, jak my ich. Nie, oni są bardziej ciekawi. Nic, co robimy, nie uchodzi ich uwagi. Jesteśmy nowością. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jakie to relaksujące, być anonimowym nikiem.

Mieszkamy w chacie z trawy i budzą nas pierwsze odgłosy poranka: nawoływania ze szczytu góry, chrząkanie szperających w poszukiwaniu jedzenia świń, ptasie krzyki. Wychodzimy na zewnątrz, a tam już czeka grupka gapiów, którzy chcą się dobrze przyjrzeć, jak w nietrudnym do odgadnięcia celu próbujemy się niepostrzeżenie przemknąć ścieżką do wychodka.